

## s. 392-393: WOJNA NIE SKOŃCZYŁA SIĘ W 1945

Pod datą 1 stycznia 1946 r. Zygmunt Klukowski zapisał: „Minął jeszcze jeden ciężki rok i wступujemy w nowy, ósmy kalendarzowy rok wojny”. Dla wielu Polaków zmagania wojenne nie zakończyły się po zdobyciu Berlina. Zwłaszcza na Białostoczczyźnie, północnym Mazowszu, Lubelszczyźnie toczyła się regularna walka o cechach wojny domowej, z charakterystycznym dla niej fanatyzmem i rosnącym okrucieństwem. Zbrojnych zajazdów na wsie, a nawet małe miasta, dokonywały także oddziały podziemia, które rabowały i mordowały Żydów, członków PPR, funkcjonariuszy milicji i UB, a nawet oficerów Armii Czerwonej. O południowej Polsce, zwłaszcza o terenie zmagania z Ukraińcami, mówiono „nowy Meksyk”. Ziemie zachodnie i północne określano mianem Dzikiego Zachodu. Do rządów szeryfa w średniowiecznym Nottingham można natomiast porównać zachowanie niektórych funkcjonariuszy UB i milicji, zwłaszcza w mniejszych miejscowościach. Byli arogancy, przekonani o swojej bezkarności, brutalni, skażeni wojną.

Szef Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego (PUBP) w Jaśle „okrutnie postępuje z ludnością, bije przy każdej okazji”. Funkcjonariusze UB i MO w Oleśnicy na Dolnym Śląsku zachowywali się „gorzej w stosunku do ludności polskiej jak żołnierze Armii Czerwonej”. Nawet urzędnik państwowy stwierdzał: „ja się sam boję tam pójść [chodziło o PUBP w Radomiu – M.Z.], bo nie wiem, czy ten, na którego złożę raport, nie przyjdzie i nie zastrzeli mnie w nocy”. W województwie kieleckim – skarżył się w urzędowym raporcie jakiś obywatel – MO i UB robiły „na system niemiecki obławy na jarmarkach na mężczyzn w roczniku poborowym”. Żeby później wypuścić ich za łapówkę.

## s. 388-390: ZBIOROWY STRACH

Na utrzymywanie się wysokiego poziomu zbiorowego strachu wpływ mogły mieć stale pojawiające się w prasie informacje o wyrokach śmierci. Sądy specjalne szafowały tą karą szczególnie często wobec wojennych kolaborantów i niemieckich zbrodniarzy wojennych. Tytuły obwieszczały: „Zdrajca skazany na śmierć”. Choć nikt wówczas nie robił badań sondażowych nad recepcją tego typu sentencji, to jednak z dużą dozą prawdopodobieństwa można stwierdzić, że wychodziły one naprzeciw oczekiwaniom dużej części społeczeństwa polskiego. Prawdopodobnie zupełnie przeciwstawne reakcje, oparte właśnie na strachu i lęku, wywoływały informacje o wyrokach skazujących na karę śmierci osoby związane z podziemiem, oficjalnie określane jako „bandyci”. Stan ówczesnej świadomości prawnej nie wchodził do tej pory w zakres zainteresowań historyków. Choć wątpliwe, aby np. treść dekretu PKWN *O ochronie państwa* z 30 października 1944 r. (Dz. U. 1945, nr 53, poz. 300) była początkowo powszechnie znana, to jednak ludzie po prostu przeczuwali, że za wiele czynów grozi kara śmierci<sup>59</sup>, potocznie zwana „czapą”.

Inna sprawa, że władze robiły wszystko, aby pogłębić społeczną wiedzę na temat represyjności nowego systemu. Rozwieszano dekrety na ulicach miast, drukowano je w prasie, informowano o nich w radiu. Ważną rolę w edukowaniu społeczeństwa za pomocą strachu odgrywały procesy pokazowe. Rozprawy takie niekiedy odbywały się w salach kinowych i halach fabrycznych, zwykle w miastach wojewódzkich, ale także na sesjach wyjazdowych, podczas których starano się o możliwie szeroki udział ludności. Tego typu sesje często zwoływano w miejscowościach, gdzie przeprowadzano akcje pacyfikacyjne. O wyrokach informowały liczne obwieszczenia i ulotki. Wzrost liczby procesów pokazowych, jak również orzekanych przez sądy wyroków śmierci, nastąpił w drugiej połowie 1946 r. W październiku 1946 r. przed Rejonowym Sądem Wojskowym w Warszawie toczył się proces jedenastu członków Organizacji Polskiej i Narodowych Sił Zbrojnych. Na karę śmierci skazano trzy osoby. Na przełomie listopada i grudnia sądzono kolejnych dwunastu członków tych organizacji. Tym razem wyrok śmierci usłyszało sześć osób. Wyroki śmierci miały być nie tylko karą czy zemstą władzy ludowej na ludziach podziemia, ale także groźbą dla wszystkich tych, którzy zamierzali się tej władzy sprzeciwić. W latach 1944–1948 orzeczono takie wyroki wobec 2500 osób, z których większość stracono.

Szerzeniu strachu służyły także publiczne egzekucje. Ówczesna prasa dość szeroko opisywała ich przebieg, ale tylko wtedy gdy skazańcami byli niemieccy zbrodniarze wojenni. Wyrok śmierci przez rozstrzelanie wykonany został na żołnierzu Ukraińskiej Powstańczej Armii 28 marca 1945 r. w Chełmie. O tym „spektaklu” oficjalnie informował za pomocą plakatu prokurator garnizonowy w tym mieście.

Publicznie rozstrzeliwano lub wieszano również Polaków. W takich wypadkach jednak ludność spędzano zwykle siłą, by przyglądała się ponuremu widowisku mordowania, często swoich bliskich. W czerwcu 1945 r. na rynku w Zwierzyńcu koło Zamościa wykonany został publicznie wyrok na niejakim Stanisławie Wojciechowskim „Misiu”. W leżącym na południowym wschodzie Sanoku publiczne wieszanie stało się – można powiedzieć – modne. 24 maja 1946 r. na stadionie sportowym odbyła się egzekucja dwóch mężczyzn z oddziału Antoniego Żubryda, skazanych przez sąd doraźny na karę śmierci. „Egzekucja wywarła silne wrażenie na tut. ludności. (...) Po wykonaniu egzekucji w Sanoku i w powiecie sanockim od kilku dni panuje względny spokój”. Widać efekt okazał się zgodny z oczekiwaniami, skoro jedenaście dni później powieszono kolejną osobę, tym razem na rynku. Do przypatrywania się kaźni zmuszeni zostali nawet uczniowie sanockich szkół.

Publiczne egzekucje odbywały się również w innych regionach kraju. 27 grudnia 1946 r. w ramach oczyszczania dwóch powiatów w województwie białostockim wykonano cztery wyroki śmierci: Mieczysław Wyrozębski został rozstrzelany publicznie we wsi Grodzisk za „udział w bandzie Sikory”, Władysław Ratyński – we wsi Dzierzby za przechowywanie członków „bandy Bartosza”, a Lucjan Marchel i Zygmunt Marchel – we wsi Wojtkowice Glinne za „udział w bandzie Sikory”. 31 grudnia 1946 r. Stanisław Wojstkowski został powieszony na rynku w Ciechanowie, podobno w obecności kilku tysięcy ludzi.

Prawdopodobnie jedna z ostatnich publicznych egzekucji w Polsce odbyła się 8 stycznia 1947 r. Tego dnia pluton MO natknął się na uzbrojonych mężczyzn we wsi Piaski (niedaleko podwarszawskiego Radzymina), w domu „obywatelki Mróz”. W walce jeden z nich został zastrzelony, pozostali zbiegli. Ciężko ranny został jeden z milicjantów. Okazało się, że synowie właścicielki domu należeli do jakiejś „bandy”. Dowódca jednostki wojskowej, która przybyła na miejsce zdarzenia, rozkazał rozstrzelać kobietę oraz jej 20-letniego syna. Oszczędzono drugiego, 5-letniego syna, choć niewykluczone, że chłopiec przyglądał się egzekucji. Dom i zabudowania gospodarskie spalono. Do płonącej stodoły wrzucono ciała

zabitych. Wszystkie narzędzia gospodarskie i domowe sprzęty oraz zmlócone zboże oddano pod tymczasowy nadzór wójta gminy, inwentarz żywy zabrało wojsko. Świadcami egzekucji byli wszyscy mieszkańcy wsi.

## s. 566-568: O NIEMCACH

Jeśli rzeczywiście celem nowego reżimu było skupienie nienawiści na Niemcach, to zamiar się powiódł. Z innego listu dowiadujemy się, jakie nastroje panowały na lubelskiej ulicy:

Drogi Przyjacielu! (...) Dzisiaj jasno dał się zauważyć nastrój u ludzi i nienawiść do faszyzmu. Naród żąda dla bandytów bezwzględnej zemsty, żąda powieszenia ich na ulicy, żeby wszyscy widzieli tę zasłużoną karę. Na głównych ulicach Lublina zebrał się tłum ludzi, gdzie z wielkim podnieceniem i zdenerwowaniem mówili o tych bandytach.

23 grudnia 1944 r. pięciu z oskarżonych zostało publicznie powieszonych na terenie obozu. Samochody ciężarowe, którymi przywieziono skazańców, posłużyły za zapadnię. Po ogłoszeniu sentencji wyroku odjeżdżały z rykiem silników, pozostawiając za sobą wiszące ciała. Egzekucji przyglądało się kilkanaście tysięcy ludzi. Jak wynika z jednego z listów, tłum chciał dokonać samosądu:

Dzień dobry, drogi Semen! Wczoraj zakończył się sąd i powiesili 5 „fryców”, którzy byli kierownikami na Majdanku i zabijali ludzi. Wczoraj o 2-iej godzinie powiesili ich. Możesz sobie wyobrazić, co się tam działo. 10 tys. ludzi, krzyk, płacz ludzi, których rodziny zabiło, po prostu wrywano się do nich i chcieli rozszarpać ich na kawałki. Rozumie się [, że] do tego nie dopuszczono.

Inaczej zapamiętał egzekucje pisarz i publicysta Zbigniew Załuski. Z jego relacji wynika, że nie było prób linczu ze strony gapiów. „Ten sam tłum, który przed kilkoma dniami omal że nie rozszarpał oskarżonych wraz ze słabiotką eskortą na ulicy, tłum, przeciwko gniewowi którego w imię sprawiedliwości i ładu trzeba było na ulice czołgi wysłać – teraz milczał, nieświadom zapewne, dlaczego jego pragnienie zemsty nie znajduje w tej egzekucji należytego zaspokojenia. Na pewno niewspółmierność zbrodni i kary. Ale pewnie również nie całkiem uświadomiona wiedza, że w latach wojny stało się coś moralnie nieodwracalnego (...) że stan poprzedni nie może być przywrócony, a moralnego progu, który ludzkość przekroczyła, nie da się już przejść z powrotem”.

Była to pierwsza w wyzwolonej Polsce publiczna egzekucja (pomijam egzekucje dezertersów, jakie często wykonywano przed frontem wojska). Kolejną przeprowadzono również na Majdanku. 23 grudnia 1945 r. został powieszony SS-Unterscharführer Paul Hoffmann, szef obozowego krematorium. Widzów zgromadziło się około 20 tys.

Najbardziej spektakularny przebieg miało wykonanie wyroku na 11 członkach załogi, w tym pięciu kobietach, KL Stutthof, w którym w czasie wojny zginęło około 65 tys. ludzi. Egzekucja odbyła się 4 lipca 1946 r. na wzgórzu Stolzenberg w Gdańsku. Informację o jej terminie dzień wcześniej podał na pierwszej stronie „Dziennik Bałtycki”. W zakładach i instytucjach skrócono godziny pracy, niektóre przedsiębiorstwa same zorganizowały swoim pracownikom transport. Szacunki mówiące, że przybyło około 50 tys. osób, wydają się przesadzone, na pewno jednak część widzów stanowiły kobiety z dziećmi.

Początkowo panowała atmosfera pikniku. Był ciepły letni dzień, sprzedawano piwo. Przed godziną 17 na miejsce stracenia wjechało 11 ciężarówek w otoczeniu konwojentów i katów, w tym jednej kobiety, przebranych w obozowe pasiaki z numerami. Tłum zaczął falować i huczeć. Technologię wieszania zaczerpnięto z Majdanka. Ciężarówki, których podesty wykorzystano jako zapadnie, stały pod szubienicami. Po przeczytaniu sentencji wyroku przez prokuratora na jego znak samochody ruszyły... „Tłum zafalował. Tu i ówdzie wyciągały się kobiece ręce: – za mężów, za dzieci” – relacjonował zdarzenie reporter „Dziennika Bałtyckiego”. Rozległy się też gwizdy. Żołnierze oddali serie strzałów w niebo. Ze szczegółami opisały egzekucje m.in. „Ilustrowany Kurier Polski” i „Express Wieczorny”. W „Przekroju” ukazał się reportaż zdjęciowy. Gazety pominęły fakt, że na powieszeniu widowisko się nie skończyło. Tłum rzucił się ściągać buty skazańcom, później odciął ich od szubienicy. Wierzono, że powrót z szyi skazańca przynosi szczęście.

Dziesięć dni później, 14 lipca 1946 r., w Poznaniu został powieszony namiestnik na Kraj Warty gauleiter NSDAP Arthur Greiser. „Jutro o godz. 7 rano Greiser zawiśnie na szubienicy. Wyrok wykonany będzie publicznie na stokach Cytadeli” – donosił w dodatku nadzwyczajnym „Głos Wielkopolski”. Wczesna pora przewidzianej egzekucji spowodowała, że ludzie zarywali noc, by zająć dobre miejsce. Znowu widowisku przyglądało się kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Podobnie jak w Gdańsku, panowała atmosfera pikniku, wśród widzów były dzieci, sprzedawano lody, napoje i słodycze. Również po tej egzekucji doszło do szamotaniny

o kawałek wisielczego sznura. Była to ostatnia publiczna egzekucja niemieckiego zbrodniarza w Polsce.

## **s. 145-147: O UPADŁYCH ŻOŁNIERZACH, STANIE WOJNY DOMOWEJ**

Nagła wolność niektórych odurzyła. Znaleźli się tacy, którzy postanowili brak jakiegokolwiek władzy wykorzystać. Rozpoczął się szaber i okres krwawych, czasami na ten moment odkładanych porachunków. „A potem zaczęła się straszna pogoń za kapami” – wspominał wyzwolenie Stanisław Dobosiewicz, wówczas więzień obozu koncentracyjnego w Mauthausen-Gusen I. Także w kraju Polacy mścili się na sąsiadach kolaborantach. Prasa domagała się publicznych egzekucji „zdrajców narodu”. Ofiarą morderstw padali wychodzący ze swych kryjówek Żydzi – świadkowie polskiego donosicielstwa, zdrady, nierzadko skrytobójczego mord. Zbiorowa przemoc w postaci golenia głów spadła na kobiety oskarżane o kontakty z Niemcami. Akcja już od 1943 r. prowadzona przez podziemie nabrała cech żywiołowej spontaniczności. W Kielcach wkrótce po wyzwoleniu nieznaną liczbę kobiet ogolono włosy, a następnie nakazano przejść przez miasto przed wyśmiewającymi je ludźmi. W czerwcu 1945 r. nieznaną z nazwy oddział podziemia najechał Sterdyń – niewielką miejscowość niedaleko Sokołowa Podlaskiego – i ogolił kobiety, które, jak donosili milicjanci, „znajdowały się w zażyłych stosunkach tak z Niemcami, jak i obecnie z sowietami”.

(...)

Podziemie – z braku Niemców – znalazło się jakby „na bezrobociu”. Wyrównywanie porachunków z czasów okupacji, karanie winnych zdrady trwało więc w najlepsze. W swoich dziennikach Klukowski odnotowuje kilka wykonanych wyroków śmierci – jak on pisze, „uziemięcia” – na osobach oskarżonych o kolaborację. Prawdopodobnie w większości przypadków kara była niewspółmierna do winy. Po pierwsze, ponieważ prawdziwi kolaboranci dawno uciekli z Niemcami. Po drugie, gdyż mordowani byli również członkowie rodzin osób oskarżonych o zdradę. Dla niektórych ludzi zabijanie stało się niesłychanie łatwe – można powiedzieć – nastawili się na walkę i uzależnili od niej, a brak niemieckiej krwi powetowali sobie, zwracając się przeciwko wszystkim, którzy znaleźli się w czasie okupacji w „szarej strefie” i nie byli „nasi”. Jakieś dziecko pisało do ojca o stracie matki, która została zamordowana prawdopodobnie tylko dlatego, że jej mąż stanął po niewłaściwej stronie politycznego konfliktu:



Tatusiu kochany nie rozpaczajcie po mamusi (...) trudno stało się to nie wróci. Mamusię zabili w polu, (...) jak mamę prowadzili bić na cmentarz to mamusia tak ich prosiła panowie nie bijcie mnie i nie róbcie moich dzieci sierotami, oni nic nie zważali na to a jak doszła mama na cmentarz to upadła i modliła się żeby Bóg darował jej grzechy, to oni mamusię podnieśli i poprowadzili na cmentarz i 3 razy wystrzelili w lewą stronę głowy.

Zasadę zbiorowej odpowiedzialności stosowali zresztą nie tylko polscy „leśni”, również litewscy czy ukraińscy partyzanci często postępowali w ten sposób. Likwidacja domniemych i rzeczywistych zdrajców wywodzących się spośród własnego narodu charakteryzuje wszelkie ruchy partyzanckie. Polscy komuniści także nie stanowili wyjątku. W maju 1945 r. Władysław Gomułka, opowiadając Georgi Dymitrowowi o sytuacji w kraju, stwierdził: „myśmy uzbroili członków partii, ale po ich uzbrojeniu zaczęły się samosądy. Członkowie partii, nikogo nie pytając, szli i zabijali. Były przypadki, że zabijali po prostu w mieście i wyrzucali trupa na ulice dla demonstracji”. Spirala przemocy osiągnęła pułap porównywany z tym z czasów minionej wojny. Ktoś pisał z Buska-Zdroju:

U nas w Busku nie bardzo wesoło, bo brat brata zabija i to w haniebnym sposobie, to zabicie kolbami, łamiąc ręce, nogi, wydłubując oczy, wypruwając wnętrzności. Tak zostało zamordowane 2 osoby z PPR, z milicji, jest to bardzo smutny obraz, takich popisów nawet hitlerowskie bandy nie pokazały.

Wojna mająca wszystkie cechy domowej tylko pogłębiała poczucie chaosu u postronnych. Pojawienie się pierwszych ośrodków władzy niewiele w tej kwestii zmieniło. Przede wszystkim dlatego że w „wyzwolonym” pasie od Białegostoku do Przemyśla w 1944 r. w wielu miejscowościach istniała trójwładza: komisarzy wojennych Armii Czerwonej, delegatów rządu, a także starostów i burmistrzów mianowanych przez Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego. W niektórych regionach możemy mówić o czterech bądź nawet pięciu ośrodkach mających pretensje do rządzenia. Mam na myśli jeszcze lokalnych przywódców polskiej, a na południowym wschodzie kraju również ukraińskiej partyzantki.

W tej sytuacji ludzie musieli – chcąc nie chcąc – być sługami wielu panów. Przynajmniej początkowo problemu nie rozwiązywało strukturalne umacnianie się nowej władzy, gdyż nie cieszyła się poparciem społecznym. Posiadając narzędzia do rządzenia, pozostawała bardzo słaba. Z miejscowości *nomen omen* Mordy, położonej niedaleko Siedlec, pisał ktoś w połowie czerwca 1945 r.:

U nas coraz gorzej. W nocy przychodzą do miasta zabijają niewinnych ludzi, biją, mordują i rabują co się da, natomiast w dzień przestępują na drogach poza miastem i tak samo zabijają, a zwłoki wciągają w zboże, tak że dopiero po tygodniu i później znajduje się trupy. Do kwietnia było u nas dość spokojnie, ale teraz jest okropnie. Gdyby było wojsko na pewno nie było by tego, ale jest zaledwie kilku milicjantów, więc nie mogą sobie poradzić.

## s. 584-586: O ŻYDACH

Położenie żydów jest naprężone, napadają na nich i rabują. W Radomiu zabito 4-ch żydów. Wieczorem żydzi chodzą na ulicy do 9-tej, boją się nocy, przeżywają takie życie drugi raz. W lasach zostały faszystowskie bandy przesiąknięte duchem hitleryzmu. W całej Polsce są pogromy. Oni chcą wymordować resztę. Nie przyjeżdżajcie...

Powyższy list został wysłany 14 sierpnia 1945 r. z Radomia. Pokazuje dramatyzm i tragizm ocalałej z Holocaustu ludności żydowskiej, jej przerażenie i strach wywołane napływającymi z całego kraju informacjami o morderstwach popełnianych na Żydach. Ofiarami padali wychodzący z ukrycia, niekiedy całe rodziny, powracający z obozów, także żydowscy milicjanci i funkcjonariusze UB. Od ucieczki Niemców do końca 1946 r. w całym kraju miało miejsce kilkanaście pogromów, linczów i antysemitycznych ekscesów. Zginęło – zdaniem niektórych historyków – od 650 do 750 Żydów. Może więcej. Jednak szacunki sugerujące dużo większą niż tysiąc liczbę zabitych wydają się zawyżone. Z jednej strony, jeśli brać pod uwagę, że w konflikcie polsko-ukraińskim zdarzały się okresy, kiedy w jednej akcji ginęło kilkaset cywilów, liczba zamordowanych po wojnie Żydów może wydawać się niewielka. Z drugiej strony bezsens śmierci ocalonych z Zagłady obezwładnia. Jednocześnie zmusza do postawienia pytania: dlaczego w powojennej Polsce Żydzi byli mordowani?

Wokół tego i innych pytań zbudowana jest szeroko komentowana książka Jana T. Grossa *Strach. Antysemityzm w Polsce tuż po wojnie*. Zdaniem autora istniała w Polsce niepisana umowa społeczna, która pozwalała zawiesić normę „nie zabijaj” w odniesieniu do Żydów. Morderstwa dokonywane na Żydach należy tłumaczyć zdaniem Grossa strachem i poczuciem winy. Strachem przed odpowiedzialnością za współudział w Holokauście i możliwością upomnienia się przez Żydów o ich domy i inną własność zajęta przez polskich sąsiadów.

Zgadzam się z autorem *Strachu*, gdy wskazuje na rozpowszechnienie poglądów antysemitycznych, traktując je jako ważny klucz do zrozumienia ówczesnych zachowań społecznych w obszarze relacji polsko-żydowskich. Wszelako, moim zdaniem, nie jest to klucz jedyny. Nie uważam także, żeby przemoc wobec Żydów, pominąwszy pogromy, na tle

wojennego i powojennego okrucieństwa i zbrodni nie odbiegała szczególnie od obowiązującego wzoru zabijania. To prawda, nie była motywowana „zemstą ofiar” jak w wypadku Niemców ani chęcią odwetu za wcześniejsze rzezie jak w wypadku Ukraińców. Ale i Białorusini nie byli mordowani „w odwecie” za krzywdy wyrządzone podczas okupacji. Fakt, że powodem zabicia białoruskiej kobiety mogła być wisząca w jej domu ikona, czyni tę zbrodnię nie mniej trudną do wytłumaczenia niż śmierć żydowskich ocalańców. Nie zmniejsza to jednak wagi ani tym bardziej nie unieważnia postawionych przez Grossa pytań: jak to było możliwe, że w Polsce, gdzie dokonała się zbrodnia Holocaustu, po wojnie ginęli Żydzi? Dlaczego doszło do antysemickich pogromów w Krakowie w sierpniu 1945 r. i rok później w Kielcach? Dorzucę jeszcze trzy pytania: czy to możliwe, aby w połowie XX w. ktoś autentycznie wierzył w mord rytualny? Jaki jest związek między wiarą, że Żydzi spożywają ludzką krew, a genezą wymienionych pogromów? Etnolodzy i antropolodzy podkreślają, że sens mitu leży w jego funkcji. Na czym więc polegały społeczne funkcje mitu mordu rytualnego i jaki wpływ na jego erupcję miała powojenna kondycja społeczeństwa polskiego? I jeszcze raz zacytuję Jana T. Grossa: „czym wytłumaczyć tę podwójną nienawiść do Żydów jako wampirów i komunistów jednocześnie, która wstrząsnęła po wojnie polskim społeczeństwem?”.

Niektóre tropy i odpowiedzi już porzuciłem na kartach tej książki. Pozbieram je i dorzucę również inne w ostatniej, podsumowującej wątek żydowski części tego rozdziału. W pierwszej zamierzam wykazać, że w Polsce mieliśmy do czynienia z autentyczną obecnością mitu mordu rytualnego w powojennej wyobraźni zbiorowej i związanego z nim strachu. Podobnie jak czynią to archeolodzy ze swoimi artefaktami, postaram się odznaczyć wszystkie znane „stanowiska” mitu z lat 1945–1947. Wszystkie powojenne pogromy poprzedziła pogłoska o mordzie rytualnym. Ich przebieg jest mniej więcej znany, toteż uwaga zostanie skupiona na roli mitu w tych pogromach, jego zdolności do inspirowania i kształtowania ludzkich postaw, mobilizowania do przemocy. Jego historia to historia Wielkiej Trwogi w pigułce.